

ARCHIWUM WOLNEJ MYŚLI

Europa to „nasza większa ojczyzna” – deklarowała redakcja w artykule wstępnym pierwszego numeru „Res Publici”. Ukazujący się w latach 1979–1981 poza zasięgiem cenzury kwartalnik zajmował na mapie polskiej kultury niezależnej miejsce osobne. Zdystansowany od bieżących sporów i wydarzeń, skupiony na długofalowej refleksji, szybko zdobył uznanie poziomem eseistyki i jakością politycznego myślenia. Jego twórcy – Wojciech Karpiński, Marcin Król, Tomasz Łubieński, Paweł Śpiewak, Barbara Toruńczyk – odwoływali się do liberalno-konserwatywnego kanonu, stawiali na pierwszym miejscu wolność i prawa jednostki. Równie mocno podkreślali naturalny i konieczny związek Polski z cywilizacją europejską.

W swojej publicystyce akcentował to zwłaszcza redaktor naczelny „Res Publici” Marcin Król. Historyk idei, filozof i eseista (ur. 1944) zaangażowanie opozycyjne datuje od lat sześćdziesiątych. Czynny w Marcu '68, współautor Deklaracji ruchu studenckiego, sygnatariusz Listu 59, wykładowca Uniwersytetu Łatającego, członek Towarzystwa Kursów Naukowych. Jego ówczesny dorobek obejmował m.in. książki: Sylwetki polityczne XIX wieku (wraz z Wojciechem Karpińskim), Style politycznego myślenia. Wokół „Buntu Młodych i „Polityki”, szereg szkiców w „Res Publice”, „Zapisie”, „Kulturze” paryskiej, „Aneksie”, „Krytyce” i „Tygodniku Powszechnym”.

Z pierwszego numeru „Res Publici” zacytujemy artykuł Europa i my (w oryginalnie podpisany inicjałami MK, zgodnie ze zwyczajem pisma)¹. Pokazuje on wagę, jaką dla twórców niezależnej myśli politycznej miała perspektywa europejska, w którą wpiywali losy kraju. Przenikliwe uwagi Króla o dominacji w Europie Zachodniej krótko-terminowego, pragmatycznego myślenia nad ideą praw człowieka i jedności kontynentu, a także o bezdrożach antyeuropejskiego partykularyzmu tych środowisk politycznych w Polsce, które uważały, że kulturową tożsamość narodu można budować niezależnie od Europy, a nawet wbrew niej, zachowały, niestety, aktualność.

Jan Skórzyński

¹ MK, Europa i my, „Res Publica” 1979, nr 1, s. 12–19. Przedruk za wydaniem londyńskim.

EUROPA I MY

MARCIN KRÓL

Dwa powszechnie wyznawane w Polsce poglądy: „nie ma co liczyć na Europę, ona nam nigdy nie pomoże” oraz „jesteśmy krajem europejskim, zachodnim, Europą Środkową, a w żadnym wypadku nie należymy do Wschodu”. Punkt wyjścia zatem to sytuacja młodszego kuzyna, który wprawdzie ma prawa, ale od którego ważniejsi członkowie rodzinie raczej się opędzają. I kompleksy natychmiast wynikające z takiego układu stosunków.

O kompleksach trzeba wiedzieć, jeśli chce się wychowywać, kompleksy i ich drobiazgowa analiza nie mogą jednak zastąpić myśli politycznej i kulturalnej. Spróbujmy więc racjonalnie rozpatrzyć: dlaczego my z Europą i co nam ten związek daje i dać może?

Najpierw – jaka Europa? Kiedy bowiem uznajemy, że punktem odniesienia, źródłem wzorów i wartości, większą ojczyzną jest dla nas Europa, to nie o geografii nam idzie. Myślmy o pewnej kulturze politycznej, a także w ogóle o kulturze europejskiej (łacińskiej, zachodniej) i wreszcie o pewnym ideale, normie.

Europa–polityka. Niewątpliwie demokracja rozwinęła się w krajach Europy Zachodniej i Ameryki Północnej, najlepiej chronione są tam prawa człowieka, a ustroje polityczne w największym znanym nam stopniu dopuszczają społeczeństwo do rządzenia. Systemy gospodarcze okazały się najbardziej sprawne, zaś stopniowe realizowanie równości warunków powoduje niewielkie tylko ograniczenia praktycznej wolności jednostki. Rzeczywiście jednak funkcjonujące mechanizmy polityczne budzą nasz, często nazbyt łatwy, lecz zrozumiały i niezbędny, krytycyzm.

Działanie wielopartyjnych systemów we Francji i we Włoszech, walka polityczna coraz częściej tocząca się li tylko o zwycięstwo wyborcze, a nie o zwycięstwo danych ideałów społecznych, doraźność i defensywny charakter polityki widoczny zarówno w stosunkach krajów europejskich między sobą, jak i w ich polityce wobec Związku Radzieckiego czy Chin – pouczeni powierzchownie wciąż rozumianym, lecz dotkliwym doświadczeniem dostrzegamy natychmiast, że tu Europa–polityki zbyt często się myli, błędzi i obraża zdrowy rozsądek, byśmy mogli uznać ją za nasz ideał. Chociaż już wiemy, że demokracja jest z natury swoim słabym systemem społecznym, że za walkę o utrzymanie wolności publicznej płaci się nieustanną obecnością konfliktów.

Europa–kultura. Jeśli myślimy raczej o terażniejszości niż o tradycji, o kulturze twórczej raczej niż o odtwórczej, to wątpliwości nie brak. Europejskiej kulturze czegoś zabrakło, przydarzyła się jakaś nieszczęśliwa przygoda, której tu analizować nie będziemy. Sołżenicyn słusznie w przemówieniu noblowskim mówił o lekceważeniu dla prawdy i dobra. Dodajmy do tego lekceważenie dla sensu, dla treści, dla słowa, dla idei, a uzyskamy obraz właściwy. Brzozowski zarzucał niegdyś polskiej kulturze niepowagę, dzisiaj brak powagi jest cechą większości dzieł powstających w kręgu kultury zachodniej. My zaś może jesteśmy wyzuci z talentów, pozbawieni możliwości, lecz poważni być musimy, bo nam idzie o życie.

Europa–kultury to także kwestia nowoczesnej cywilizacji. I chociaż głupstwem jest wyrzekać na „antyhumanitarny” czy „alienujący” charakter nowoczesnej cywilizacji, jeśli się nie doznało jej dobrodziejstw, to już mniej niemądre jest takie myślenie, które próbuje znaleźć możliwość przyszłego korzystania z dobrodziejstw cywilizacji, a zmniejszania jej skutków negatywnych.

Europa–norma. Norma, to znaczy miara niegdyś być może arbitralnie narzucona, lecz potem stosowana jako wzorzec idealny i zarazem standardowy.

Europa jako norma to w negatywnym sformułowaniu to wszystko, czym Europa–polityki i Europa–kultury nie jest, ale być może lub powinna. To zasada głosząca nadrzędność jednostki, jej praw, jej wolności i jej życia w spokoju, zasada, która w dziejach Europy była stopniowo w coraz większym stopniu realizowana. To zespół przesładczeń tak radykalnie odróżniających świat europejski od wszystkiego, co znajduje się poza nim. To sposób myślenia o sensie życia ludzi i społeczeństw głęboko i nierozzerwalnie zakorzeniony w chrześcijaństwie. A zatem wiara w ducha przeważającego nad chaosem materii, wiara w wolną wolę swobodnie tworzącą historię, w pozytywną tradycję myśli podejmującej wciąż te same, najpierwsze pytania. Norma, która pomaga tworzyć

i norma, która umożliwia kontrolę, wrogość wobec skrajności, niewiara w rozwiązania ostateczne, w spełnienie utopii powszechnej szczęśliwości, w to, że człowiek ma być jedynym źródłem i wyłącznym celem zabiegów.

Taką Europę–normę dostrzegał nawet ten bękart Europy Fryderyk Nietzsche, kiedy pisał: „Mam na myśli takich ludzi, jak Napoleon, Goethe, Beethoven, Stendhal, Henryk Heine, Schopenhauer (...) Na wszystkich wyżynach, we wszystkich głębinach ich potrzeb pojawia się pokrewieństwo, najistotniejsze pokrewieństwo: dusza to Europy, jednej Europy, tęskni, przedziera się, wydziera z ich różnorodnej burzliwej sztuki...”.

Taka właśnie Europa–normy określa nasz horyzont polityczny, kulturalny i jest wzorcem jedynym, jakim dysponujemy.

Myli się ten, kto sądzi, że można respektować Europę–normę, odnosząc się negatywnie do europejskiej polityki i kultury lub choćby je ignorując. Norma nie bytuje poza czasem, istnieje o tyle tylko, o ile jest wcielana. I jeśli nawet – jak była mowa – jej polityczne i kulturalne realizacje nie mają już dla nas rangi idealnej, to do nich w praktyce odnosić się musimy.

A przecież jest w Polsce silna tradycja myśli politycznej i kulturalnej, która mówiła: skoro wy (Europejczycy) nam nie pomogliście i pomoc nie chcecie, to my zjednoczeni z waszym śmiertelnym wrogiem zrobimy z wami porządek. To Staszic i Wielopolski, reakcja nienawiści i pragnienie zemsty, to w wiele lat potem także Roman Dmowski, za którego pozornie chłodnymi kalkulacjami krył się ów nacjonalistyczny kompleks – w Rosji to my pany, tam my jesteśmy Europą. Takie rozdwojenie jaźni: na użytek wewnętrzny niechęć do Europy, zaś na Rosję, Bułgarię, Rumunię, a przede wszystkim na Ukrainę, Białoruś, Litwę popisywanie się europejskością i dobroduszne ojcowanie cechowało znaczną część polskiej myśli w dwudziestym wieku. W lepszej wersji były to niewczesne ambicje dydaktyczne – Europę nauczymy, czym jest Rosja, Rosję zaś wprowadzimy do Europy. Jakby

nie dość było przykładów, że Europa Rosji chce się uczyć z pierwszej ręki i, chociaż często jej to na dobre nie wychodziło, nie zmieni obyczajów, zaś Rosja w najlepszym przypadku uzna Polskę za komiwojażerkę kultury, nigdy za nauczycielkę i żadne racje rozumu nie pomogą.

Z tych tradycji, a także z doświadczeń II wojny światowej, wyrosła powojenna antyeuropejskość, która dwa miała oblicza. Komunistyczne, typu „zgnięty Zachód”, który zrodził faszyzm, oblicze nienawistne, purytańskie, antykulturalne. Oraz tak zwane „realistyczne”, kiedy to z oczywistego faktu, że mianowicie znajdujemy się w radzieckiej strefie wpływów, wyciągano wnioski historyzoficzne i próbowano robić dobrą minę do złej gry. Tak myśleli i myślą niekrytyczni uczniowie Dmowskiego oraz ci, którzy w polityce dają upust resentymentom, więc powtarzają: Jałta, wrzesień 1939, Węgry 1956, Czechosłowacja 1968, aby dowieść, że Europa jest egoistyczna i obojętna na nasz los. A jeśli nawet taka jest, to czy z tego wynika, że mamy się ot tak po prostu przenieść do innego kręgu kulturowego?

Drugim źródłem antyeuropejskości stało się pojawienie na arenie politycznej i w dziedzinie kultury nowych warstw społecznych w końcu XIX i na początku XX wieku. W drugiej połowie XIX wieku, a być może i wcześniej, od kongresu wiedeńskiego, w Europie panował spokój, dla olbrzymiej większości chętnych do podróżowania granice praktycznie nie istniały, rozwijały się natomiast prawdziwe międzynarodówki: arystokracji, intelektualistów, socjalistów, inżynierów i finansistów. I to nie I wojna światowa położyła kres tamtemu światu, jak się często powtarza, lecz awans społeczny olbrzymich mas ludzkich, które najpierw musiały się nauczyć ojczyzny, przeczytać pierwsze książki narodowe i stowarzyszyć się z już oświeconymi w pierwszych odruchach elementarnego patriotyzmu. Taką tendencję musiały wykorzystać te partie polityczne, które ksenofobię podsyciły, a europejską wspólnotę ducha uczyniły przedmiotem drwiny i przykładem słabości, braku

„ludowej” krzepy i czerstwości. W Polsce szybkiej orientacji i dostrzeżeniu tej szansy zawdzięczała swoją karierę endecja, już od dawna działał tu ów kompleks gorszego kuzyna i żal za brak pomocy i liitości.

Proces awansu mas społecznych dopiero się dopełnia na naszych oczach i ideologia oficjalna chętnie wykorzystuje resentymenty i endeckie tradycje. Bo też nie zniknęły jeszcze psychologiczne podstawy dla takich zabiegów propagandowych, nie tylko nie zniknęły, ale – wydaje się – uległy wzmocnieniu w trakcie ostatnich trzydziestu lat. Im większa jest cywilizacyjna, codziennie-bytowa odległość od Europy oraz im wyraźniejsza jest świadomość tego oddalenia, tym łatwiej podsycić nastawienie niechętnie. To, co „zachodnie”, imponuje, ale ponieważ jest nieosiągalne lub osiągalne w nieprzyjemnie małym stopniu, więc kontakt z owym Zachodem najłatwiej nawiązać przez krytykę, nienawiść do zepsucia, materializmu, sybarytyzmu itp. Na nieco wyższym poziomie refleksji rozczarowanie to jest wynikiem oburzenia na Europę-polityki i Europę-kultury i zostaje automatycznie przeniesione na Europę-normy. I wtedy pojawiają się te wszystkie mętne rozważania, których celem jest dowieść, że tradycja polskości pozwala nam uniezależnić się od Europy, że takie rozdzielanie nie przyniesie nam żadnego szwanku, bowiem dysponujemy własną normą, którą tylko trzeba wydobyć z dziejów polskiej polityki i kultury. Zgoda, istnieje specyficzna logika polskiego myślenia, ale jest ona tylko jedną z wielu wersji Europy-normy i jako taka nie jest samowystarczalna. Logika ta – nie pora wdawać się w szczegóły – była zawsze pewną odmianą europejskiego uniwersalizmu, który stanowił niezbędny warunek jej funkcjonowania. Zwrócenie się zatem ku owej domniemanej polskiej normie, a choćby rezygnacja ze stałego duchowego kontaktu z Europą niweczy automatycznie możliwość stosowania jakiegokolwiek polskiej logiki.

Wspomina się i podkreśla rolę takiej polskości, myśląc o zagrożeniu dla tożsamości narodowej.

Sądzę, że zagrożone nie są więzi narodowe na elementarnym, odruchowym, plemiennym poziomie. Natomiast osłabienie kontaktu z Europą–normy grozi tożsamości narodowej pojmowanej jako tożsamość kulturowa. Nie jest to zresztą wyłącznie polskie ograniczenie. Żaden z europejskich narodów nie jest duchowo samowystarczalny i żaden nie może sobie pozwolić bezkarnie na obranie jakiejś własnej, całkowicie osobnej drogi. Wszystkie takie eksperymenty w dwudziestym wieku kończyły się tragediami całych narodów, a także Europy. Zarówno komunistyczne i „realistyczne”, jak i „postendecko-ludowe” oskarżenia Europy zdają się prowadzić do wniosku, że kulturową tożsamość narodową można w Polsce rozwijać niezależnie od Europy czy nawet wbrew Europie–normy. Nie należy przyjmować jednak stanowiska przeciwstawnego. Rozwój tej tożsamości narodowej jest ściśle związany z kontaktem z Europą, jeden winien towarzyszyć drugiemu. I tylko w trudnych, jak dzisiejsza, sytuacjach warto mówić o tym, co jest bardziej zagrożone, na co więc należy zwrócić baczniejszą uwagę. Skoro nie ma podstaw do obaw o siłę więzi narodowo-plemiennej na jej elementarnym poziomie, dbałość o duchowy związek z Europą–normy jest najważniejsza. Oczywiście, pozaeuropejska Polska pozostanie Polską, lecz można mieć wątpliwości, czy będzie to Polska, w której będziemy chcieli żyć.

A co Europa na to wszystko? Pomińmy Jaltę, porzućmy niewczesne żale i zastanówmy się, czy w ogóle, a jeśli tak, to na jakich warunkach Europa jest zainteresowana lub może się zainteresować Polską?

Nie warto także wdawać się w raczej beznaoczne uwagi na temat potrzeby moralności w polityce. Wprowadzenie przez prezydenta Cartera idei praw człowieka do polityki międzynarodowej oraz mniej więcej równoczesny i nagły wzrost siły niezależnych ruchów demokratycznych w Europie Wschodniej, a przede wszystkim w Polsce, niewątpliwie zmieniły nieco atmosferę polityczną. Są to zapowiedzi nowej koniunktury, jednak na jej in-

tensywniejszy i w konkretnej praktyce politycznej widoczny rozwój przyjdzie jeszcze dość długo poczekać. W obrębie aktualnej sytuacji geopolitycznej i w stabilnym układzie światowym możliwości manewru dla nawet najbardziej przejętych zasadami moralnymi sił politycznych są przecież niewielkie. To, co mało prawdopodobne w polityce obliczanej na miesiące, nie jest jednak wykluczone w politycznych planach długofalowych i o tym tylko będzie mowa.

Spośród rozmaitych instytucji powołanych do życia na skutek starań zwolenników idei Europy, czy to pan-Europejczyków z czasów jeszcze międzywojennych, czy to polityków, którzy ideę Europy i to właśnie Europy–normy uznali za najprzydatniejszą do uporządkowania powojennego świata, najbardziej może interesująca jest mieszcząca się w Strasburgu Rada Europy. W statucie tej organizacji uchwalonym w 1949 roku mówi się o „przywiązaniu do duchowych i moralnych wartości, które należą do wspólnego dziedzictwa społeczeństw i są rzeczywistym źródłem indywidualnej wolności, wolności publicznej oraz rządów prawa, zasad stojących u podstawy wszelkiej prawdziwej demokracji”. Jest to więc zbiór pryncypiów identyczny z naszym rozumieniem Europy–normy, a zatem Rada Europy nie jest instytucją założoną dla celów li tylko doraźnie politycznych. A jednak w całym statucie i w dokumentach towarzyszących oraz we wszystkich deklaracjach Rady powstałych w trakcie następnych trzydziestu lat nie ma nawet wzmianki o tych społeczeństwach europejskich, które czują się związane z Europą–normą, ale poddane innemu prawu chwilowo nie mogą uczestniczyć w Radzie Europy, w wysiłkach na rzecz europejskiej konferencji.

Podobne niepokoje i wątpliwości musi budzić polityka Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej. Z punktu widzenia doraźnych celów gospodarczych zroszczyła jest niechęć aktualnej „dziewiątki” do poszerzania składu EWG o takie kraje jak Grecja czy Hiszpania, kraje gospodarczo słabsze, więc jako partnerzy niezbyt pożądane. Prezydent

Grecji musiał zwrócić EWG uwagę, że wstrzymywanie się z decyzją o przyjęciu Grecji do wspólnoty może zagrozić wewnętrznej demokracji w tym kraju. Cóż dopiero, gdyby członkami EWG chciały zostać kraje Europy Wschodniej o tak przecież odmiennej strukturze gospodarczej i o tyle ekonomicznie słabsze. Znowu przed Europą staje ten sam problem: wymagania realistycznej, pragmatycznej polityki bieżącej uniemożliwiają działanie na rzecz wartości wyższych – idei praw człowieka, jedności Europy–normy.

Dopóki polityka europejska będzie uprawiana na zasadzie pogotowia ratunkowego, dopóty wszelka możliwość mnożenia wysiłków na rzecz wartości wyższych będzie wykluczona. A przecież jedność Europy–normy czy idei praw człowieka pojawiły się w polityce nie tylko i nie przede wszystkim ze względu na społeczeństwa żyjące w rozmaitych ustrojach totalitarnych, lecz w celu ratowania, ożywiania duchowych podstaw demokratycznego systemu zachodniego. Zapewne nowe pokolenia, na których edukację wpłynęło ideowe ożywienie lat sześćdziesiątych, stopniowo wniosą do polityki Europy jakieś nowe metody łączenia moralistycznych deklaracji z bieżąco-pragmatyczną praktyką, lecz jest to kwestia kilkunastu lat co najmniej. Jeśli w ciągu tych lat europejska polityka nie zacznie rozumować w kategoriach długofalowych, jeśli poprzestanie na ratownictwie zamiast prewencji, to jej siła może się tak dalece zmniejszyć, że nie będzie po co myśleć o „wielkiej polityce”.

Konkretnie i z polskiego punktu widzenia jest to postulat rozważania przyszłości europejskiej wspólnoty, umieszczenia w prognozach i analizach politycznych oraz w sferze celów praktycznych, umożliwiających realizację celów wyższych, pytań dotyczących przyszłości krajów Europy Wschodniej, ich ewentualnego miejsca w owej wspólnocie czy też konsekwencji stałego podzielenia Europy na dwa obce sobie światy. Bo wszelkie nasze wysiłki zmierzające do „europeizowania” Polski będą niepełne i mało skuteczne, jeżeli ogólnikowe

wsparcie moralne nie przeistoczy się w element politycznego planowania przeprowadzanego przez politykę zachodnią. Jest to trudny rachunek, jak zawsze, kiedy bieżące straty w zakresie spokoju politycznego i dobrobytu gospodarczego mają zostać wynagrodzone przyszłymi i niepewnymi zyskami duchowymi, ale jego szczegółowe wyliczenie już nie do nas należy.

Jest jeden tylko i ogromnie prymitywny argument, który możemy tu przedstawić. Jeżeli społeczeństwa wschodnioeuropejskie nie będą stopniowo włączały się w Europę, to wzrastała będzie siła tendencji antyeuropejskich. Tendencje te są wprawdzie dla tych społeczeństw zgubne, ale jeżeli będzie zanikało poczucie prawa, wolność jednostki i wolność publiczna staną się pragnieniem tylko nielicznych, a demokracja pojęciem niezrozumiałym, to mimo istnienia powierzchownych podobieństw w zakresie mody, zewnętrznego stylu życia i materialnych atrakcji społeczeństwa takie będą groźne dla przyszłości Europy.

Należy tu wspomnieć o europeizacyjnej funkcji Kościoła katolickiego, jedynej obecnie, ale przecież nie czysto politycznej siły, która zdolna jest przeciwdziałać takim tendencjom w Polsce i która rozumuje w kategoriach długofalowych. Idee zawarte w pojęciu Europy–normy są bliskie ideom moralnym i społecznym Kościoła, a jego wyraźne, zwłaszcza w ostatnim okresie, zainteresowanie problematyką europejską, dobitnie ujawnione w trakcie pobytu w Niemczech delegacji polskiego episkopatu, pozwala na ogromnie umiarkowany optymizm w każdym razie co do tego, że wizja Europy–normy nie zostanie całkowicie zapomniana.

Co natomiast możemy zrobić my, żyjący w tym drugim świecie, poza „żelazną kurtyną”? Skoro sądzimy, że europejskość leży w naszym interesie narodowym, powinniśmy utrzymywać z aktualną Europą możliwie ścisły związek i przede wszystkim nauczyć się mówić europejskim językiem, wypowiadać w tym języku nasze poglądy polityczne. Potrzebny jest język geopolityki, rachunku sił, programowania politycznego, wiedza na temat

reguł dyplomacji, a także na temat historii myślenia o wspólnocie europejskiej, polskiego udziału w takich dawniejszych staraniach, przeszkód, które wysiłki te utrudniały. I wreszcie rozeznanie w sprawach Europy Wschodniej, polityki krajów sąsiednich, a także wyrobione poglądy na takie tematy jak stosunki polsko-radzieckie czy polsko-niemieckie w bliższej i dalszej przyszłości. Takiego sposobu mówienia i myślenia o polityce, takiego stylu myśli politycznej nie można poznać i nie można nauczyć się nim posługiwać, jeżeli nie towarzyszy się na bieżąco losom Europy. I możemy spierać się co do tego, w jak znacznym stop-

niu dzisiejsza Europa wciela Europę-normy, lecz od tej dzisiejszej Europy musimy uczyć się myśleć i mówić o polityce, bo nie ma od kogo innego.

Aut Europa, aut nihil. Pierwszy krok to jasne uświadomienie sobie takiego stanu rzeczy. Następny to europeizacja naszego myślenia, przede wszystkim myślenia o polityce. Nie możemy na takich wysiłkach nic w każdym razie stracić. A czy teoretyczna niepodzielność Europy-normy znajdzie w przyszłości praktyczne potwierdzenie, to już nie tylko od nas zależy, od nas jednak zależy, czy do współobecności w takiej Europie będziemy przygotowani.